



Tron we krwi



Schillerowska „Maria Stuart” to znakomite studium władzy i wpisanych w nią intryg, rywalizacji, strachu. Kolejną odsłonę tego dramatu można oglądać na scenie Teatru Narodowego w Warszawie w reżyserii Grzegorza Wiśniewskiego



MACIEJ WALASZCZYK

Maria Stuart wspaniale przygotowała się na śmierć. Przez niemal 20 lat więziona przez Elżbietę Tudor została stracona 8 lutego 1587 r. w makabrycznych okolicznościach. Tej sceny nie ma w przedstawieniu „Maria Stuart” Fryderyka Schillera wystawionym na scenie Teatru Narodowego w Warszawie w reżyserii Grzegorza Wiśniewskiego. Tu oprawcy przygotowaną na śmierć Marię brutalnie porywają, a odgłosy egzekucji dobiegają już zza kulis. W rzeczywistości królowa Szkotów śmierć miała przyjąć godnie. Napięcie

było tak duże, że wprawiony w swojej sztuce kat w zdenerwowaniu nie potrafił precyzją ciosu pozbawić jej głowy. Pierwsze uderzenie trafia w potylicę, a dopiero za trzecim razem dokonuje dekapitacji. Próbuąc uchwycić głowę, łapie tylko za czepek i perukę. Wtedy zebranych ukazuje się oblicze starej, siwej wyłysiałej kobiety z krótko przystrzyżonymi włosami. Miała dopiero 45 lat, była schorowana i zniszczona wieloletnim przetrzymywaniem w więzieniu.

Maria Stuart starannie przygotowała się na śmierć, ubierając pod suknię purpurową halkę. U Wiśniewskiego jest to niestety czerwona lateksowa sukienka. Trochę żenująca prowokacja, gdyż żywot i tragiczny los przypieczonego egzekucją Stuartówny to z pewnością męczeństwo symbolizowane przez ten kolor. Maria pozbawiona została katolickich sakramentów, o które prosiła. Umierała

za wiarę i własne prawo do brytyjskiej korony, prosząc, by „Bóg w swym wielkim miłosierdziu i dobroci oddalił swe plagi od tej wyspy głupców”.

Prof. Jacek Bartyzel, teatrolog i filozof polityki, przyznaje, że można w niej dziś widzieć męczennicę. – Ponieważ była katoliczką, co było nierozdzielnie związane z kwestią polityczną, wobec ekskomunikowania Elżbiety stawała się prawowitą władczynią Anglii – tłumaczy.

Schillerowska „Maria Stuart” to znakomite studium władzy i wpisanych w nią intryg, rywalizacji, strachu. Reżyser zdecydował się na odejście od scenografii i kostiumów z epoki. To zawsze ryzykowny zabieg i nie wiem, czy udany. Sceneria jest surowa i oszczędna, stół i krzesła jako jedyne rekwizyty opakowane, jakby przygotowane do transportu, symbolizują niepewność i tymczasowość wszystkiego dookoła. Betonowy strop

i ściana więzienia dominują nad sceną, po której każdy z bohaterów stąpa jak po kruchym lodzie. W labiryncie pełnym zapadni, pułapek, luster (tę rolę odgrywają ekrany, na których obraz akcji widz obserwuje z bliskich ujęć kamery) rozgrywa się dramat władzy. Bohaterami rządzi „strach, ten okropny towarzysz tyranii”. Dialogi, mimo że spektakl rozgrywa się w znakomitej akustyce teatru, wzmacniają mikrofony. Dla spotęgowania efektu scenicznego zdecydowano się też na dźwiękowe tło i efekty.

Dziesięć lat temu Grzegorz Wiśniewski także na scenie Teatru Narodowego wystawił własną adaptację „Królowej Margot” na podstawie powieści Aleksandra Dumasa, której tłem też jest konflikt między katolicką monarchią a francuskimi hugenotami. Również wtedy w głównych rolach Katarzyny Medycejskiej i Małgorzaty Walezjuszki obsadził Stenkę i Gorodecką. „Marię Stuart” Schillera wystawił już w 2008 r. w Teatrze im. Wilama Horzycy w Toruniu i w 2015 r. w Teatrze Studyjnym PWSFTviT w Łodzi. Świetnie, że sztuka powróciła tym razem scenę narodową w stolicy.

Archipelag Brytanii jest rozbity od wieków na geograficzne obszary, które stały się też naturalnymi krainami politycznymi, jak Anglia i Szkocja. Na przełomie XVI i XVII w. jest ona areną wojny religijnej, wpływów kulturowych, sporu politycznego między katolickimi monarchiami i papieżem a protestantyzmem w wydaniu angielskim. Bohaterami tej w duchu greckiej tragedii są ludzie sprawujący władzę. Stojący na szczycie hierarchii społecznej, osiągają pełnię swoich możliwości, a ich działania wpływają na los poddanych i państwa. Maria Stuart to delfina, a następnie koronowana królowa Francji, prawowita królowa Anglii i Irlandii od ekskomunikowania w 1570 r. Elżbiety Tudor przez św. Piusa V. To czas zmagania obu stron i wzajemnych prześladowań, starcie kulturowe dosłownie rozrywające ówczesne społeczeństwo. Także Szkocję, z której Maria uciekła, chroniąc się w Anglii i uruchamiając mechanizm walki o tron, do którego miała pełne prawo. To chyba najważniejszy motyw silnie wyzierający z dramatu Schillera – wiara w boską legitymizację władzy i fakt, że pozbawienie tronu i życia poma-

zańca bożego było wówczas największą zbrodnią. Elżbieta Tudor była na pewno jednym z najpotężniejszych ówczesnych władców. Nie potrafi jednak wziąć na siebie ostatecznej decyzji o zabiciu rywalki-kuzynki, przepajają ją lęk o własne życie, paraliżujący strach przed zdradą i zamachem, a także o własną reputację. Ma świadomość, że posiadana przez nią władza, jest uzurpatorska.

„Kobiety nie są słabe. W mojej obecności proszę nie mówić o słabości kobiet” – oznajmia w jednej ze scen królowa Anglii. U Schillera kobiety konfrontują się bezpośrednio, do czego historycznie nigdy nie doszło. Elżbieta jest również zazdrosna o urodę rywalki. Maria jest według przekazów piękna, bardzo dobrze wykształcona, przygotowana do odgrywania roli politycznej i kochająca życie. Odbiega od purytańskiego wzorca kreowanego przez anglikańską rewolucję. Ich kobieca rywalizacja ma nieco przyćmić historyczny i polityczny kontekst. Bo ten jest przecież decydujący o dosłownie wszystkim. Dzieli je wszelkie możliwe antagonizmy – katolicki i papistowski wobec protestanckiej herezji, wrogię sobie Szkocja i Anglia, spór o koronę i prawowitą władzę. „To jest przekleśne przeznaczenie władców, że poróżnieni rwą świat w nienawiści i każda zwada furię rozpętuje” – mówi Maria. U Wiśniewskiego w fikcyjnej rozmowie wyłącznie mają przeciw sobie zazdrość, nienawiść, niespełnienie, chęć zemsty i poczucie upokorzenia. Specjalnie nie ścierają się w niej żadne racje ideowe. Choć Schillerowska Maria wyrzuca Elżbiecie Tudor „sprytną hochsztaplerkę” i profanację tronu przez „bękart”. Elżbieta to w końcu córka Henryka VIII i drugiej spośród jego sześciu żon, Anny Boleyn. Z tej próby i z całej inscenizacji zarówno Danuta Stenka w roli Elżbiety Tudor, jak i Wiktoria Gorodeckaja, wcielająca się w Marię Stuart, wychodzą zwycięsko.

Widz jest świadkiem wytrawnych dyplomatycznych gier, intryg i machinacji, w których udział bierze cały dwór. Nikt nie jest bezpieczny. Maria wie, że w każdej chwili może zostać podstępnie zabita. Wie, że Elżbieta żyje dylematem utrzymania władzy. „Kaźde nieszczęście, które mnie powala, nosi nieszczęsne imię Marii Stuart” – mówi. Jej korona jest nieprawowita, a w kraju antykatolickiego terroru wciąż

działają religijni i polityczni przeciwnicy. Spór polityczny próbuje legalizować przez sąd i skazanie rywalki na śmierć pod fałszywym zarzutem zabicia męża. Szuka sposobu na pozbycie się jej, ale nie potrafi zlecić zabójstwa czy złożyć podpisu nawet pod oficjalnym wyrokiem śmierci. Tkwi między dwoma rozwiązaniami – sztyletu mordercy i katowskiego topora. „Lud domaga się, żebym podpisała. Więc zgodnie z jego wolą to zrobiłam – zrobiłam pod przymusem” – zastrzega. Tkwi między kobiecymi aspiracjami a obowiązkiem męża stanu, podstępem a walką z otwartą przyłbicą. Jest przerażona kapryśnością ludu i jego zmiennością „kierowanym strachem i ślepą nienawiścią” (ciekawa aluzja do współczesnego dramatu demokratycznych reżimów). Elżbieta do samego końca nie potrafi przyjąć odpowiedzialności, w końcu zrzuca przekazanie decyzji o wykonanie wyroku na Davisona, swojego sekretarza (Paweł Brzeszcz).

Ale jej otoczenie nie ma takich dylematów. „Nie ma czasu na mdłe miłosierdzie, dobro narodu jest najwyższym prawem” – podpowiada jej baron Burleigh. Tu o wpływy u Elżbiety oraz życie i śmierć królowej Marii walczą nieustannie Robert Dudley, hrabia Leicester (Mateusz Rusin), wielki skarbnik Wilhelm Cecil, baron Burleigh (Przemysław Stippa), Georg Talbot, hrabia Shrewsbury (Jarosław Gajewski). Ostatecznie to Mortimer (Karol Pocheć), bratanek pilnującego ją w więzieniu Amiasa Paulety (Wiesław Cichy), jest figurą autentycznego zdrajcy. Historycznie był nim Gilbert Gifford, jeden z katolickich konspiratorów, który będąc podwójnym agentem sir Francisza Walsinghama, sekretarza stanu Elżbiety, wymieniał z uwięzioną Marią sfalszowane listy, wciągające ją nieświadomie w spisek na życie angielskiej królowej. Prowokacja umożliwiła oskarżenie Marii o próbę zobycia angielskiego tronu za pomocą interwencji francuskiej i hiszpańskiej oraz próbę przywrócenia Kościoła katolickiego w Anglii. To dało Elżbiecie argument do skazania jej na śmierć, choć do samego końca targają ją wątpliwości, jest skłonna rewidować proces, cofać „ostateczne” decyzje, które zrzuca na mężczyzn. Obie kobiety zawodzi instynkt, a mechanizm politycznych trybów dosłownie je miażdży. /